

Polubiliśmy bardzo Radżasthan. Zresztą nie tylko my, o czym świadczył mój turban z Udajpuru, który zapewniał mi życzliwość w oczach wszystkich Hindusów. Nic dziwnego. Ów pustynny stan zawsze był enklawą niepodległości w Północnych Indiach, posiadał silną autonomię w czasach panowania wywodzących się z kręgów muzułmańskich Mogołów (choć nie każdy z nich poczuwał się do bycia muzułmaninem), nawet w okresie brytyjskim jego władcy mogli wciąż cieszyć się swoimi zwyczajami i symboliką, choć władza należała już do kogoś innego. Jednak to co zostało, nieustannie zadziwia swoją barwnością i autentyzmem nie tylko przybyszów z innych krajów, lecz również samych Hindusów z innych krain Subkontynentu, dzięki czemu mój turban uczynił mnie skromnym emisariuszem ziemi Radżputów.



Wjechaliśmy do Adżmeru wczesnym świtem. Obudziły nas widoki surrealistycznych wzgórz, dziwne pnących się w górę. Ich kolor był złoty, gdyż piasek zdominował kurczowo trzymającą się życia roślinność. Pod nimi sunęły domy, w większości pobudowane w tradycyjnym stylu haweli, co za tym idzie, nie pozbawione dekoracji rzeźbiarskiej utrzymanej w inspirowanym kwiatami lotosu, indyjskim stylu, w którym tkwiły też dalsze lub bliższe echa architektury muzułmańskiej. Już na pierwszy rzut oka miasto zdało nam się małe i spokojne, choć miało prawie 500000 mieszkańców, co jednak w Indiach niewiele znaczy. Miasto największy okres świetności miało ze sobą. Swego czasu było ono na tyle potężne, aby zagrozić rosnącemu szybko Delhi. Założył je pod koniec VII w. n.e. radża Dushyant Chauhan. Był on twórcą dynastii Chauhanów, która dzielnie się broniła w późniejszym okresie przed licznymi, tureckimi najeźdźcami. Tym niemniej największy spośród nich, Muhammad z Ghor, założyciel Sułtanatu Delhijskiego, podbił Ajmer bez większego trudu w roku 1193. Od Delhi miasto było zależne aż do roku 1365. Wtedy to przeszło pod władzę radżów Mewaru i nabrało sił, utrzymując w szachu stolicę muzułmańskich Indii. Najgorszym wrogiem okazali się w tym okresie inni Radżputowie, władający Marwarem. W 1559 wielki cesarz Akbar podbił niepokojący jego stołeczne miasta Adżmer i włączył do swojego imperium, czyniąc go w ten sposób mogolskim fortem po środku ziem Radżasthanu, którego władcom w większości wypadków zezwolił na dużą niezależność. Następcy Akbara nie byli już tak wolnomyślicielscy jak on, przez co charakter Adżmeru stał się bardzo muzułmański, przynajmniej jak na tą część Indii. W 1770 miasto przejęli z rąk Mogołów Maratowie, którym zostało ono po prostu sprzedane. W 1818 oni z kolei odsprzedali je Kampanii Wschodnioindyjskiej, czyniąc je niechcący głównym ośrodkiem brytyjskiej kolonizacji w regionie (podobnie jak wcześniej i na większą skalę miało to miejsce z odsprzedanymi Wyspiarzom ziemiami pod Madras, Bombaj i Kalkutę). Mimo to indyjski garnizon Ajmeru stanął po stronie Sipajów w pamiętnym

roku 1857, co ściągnęło ostateczną marginalizację na ten gród. Wyprzedzając już moją dalszą opowieść, muszę stwierdzić, iż ślady brytyjskiego budownictwa są w tym mieście nieznaczące.



Dworzec adźmerski okazał się miłym miejscem, gdzie można było się napić wyjątkowo dobrej herbaty i gdzie było stosunkowo czysto. Kaja zauważyła, iż tutejszy dialekt hindi dużo bardziej się różni od tego znanego jej z Agry i Delhi, niż w przypadku położonego dalej od serca Indii Udajpuru.

Mogliśmy bez trudu obejrzeć rozmieszczenie poszczególnych regionów Adżmeru na mapie satelitarnej. Wiedzieliśmy zatem, iż riksarz wiozący nas do centrum żąda cen zdecydowanie przesadnych, lecz trudno było z tym walczyć o szóstej nad ranem. Jak się później okazało, Adżmer cierpiał na częste najazdy pielgrzymów, co źle wpływało na uczciwość rykszarzy i hotelarzy.

Pojechaliśmy z riksarzem w pobliże Ajmer Sharif, czyli głównej atrakcji miasta w odczuciu większości mieszkańców Indii. Ów kompleks budowli jest meczetem grobowym największego indyjskiego sufiego Moinuddina Chistiego, tytułowanego Khwają. Moinuddin Chisti był założycielem subkontynentalnej tradycji sufickiej, polegającej na zespole muzyków zwanym qawwali i na formie muzycznej noszącej to samo miano. W rytm klaskania w dłonie i bicia w inne instrumenty perkusyjne śpiewa się w niej poezje w urdu i po persku, związane tematycznie z mistyczną miłością do Allacha i Alego, oraz z wysławianiem różnych świętych związanych z tym nurtem islamu. O kunszcie qawwali świadczą nie tylko zdolności muzyczne, ale też erudycja poetycka. Śpiewając qawwalę należy bowiem łączyć na zasadzie skojarzeń i podobnych motywów różne wersy, zdobiąc w ten sposób i pogłębiając treść ramowego poematu. Podobnie jak w muzyce tanecznej, czy w niektórych stylach śpiewania ragi, artysta powtarza po wielokroć i w różny sposób szczególnie cenione przez siebie wersy. Niekiedy na jednym takim powtórzeniu opiera się trwająca nawet godzinę muzyczna medytacja. Qawwala należy do form ceremonii sufickiej służących uzyskaniu ekstatycznego transu, co różni ją od bardziej intelektualnych tradycji zachodniej części świata islamu, w których głównym inicjatorem był myśliciel Ibn 'Arabi. Sufi są, albo przynajmniej powinni być, zaprzeczeniem fundamentalistycznego islamu. Słyną z tego, że akceptują różne religie, szukając bezpośredniej drogi do wymyślonego przez siebie absolutu. W krajach, gdzie obowiązuje prawo szariatu są oni częstokroć prześladowani przez bardziej ortodoksyjnych muzułmanów.

Dziedzictwo Moinuddina Chistiego rozpropagował cesarz Akbar, który uznał, iż modlitwa u grobu tego mistyka przyniosła mu upragnionego potomka, Salima, późniejszego cesarza Jahangira. Z tej też przyczyny Salim otrzymał od ojca w młodych latach liczne ziemie i pałace w Ajmerze, gdzie za młodu rezydował. Jego syn, wielki budowniczy Indii, Shahjahan, dokończył i rozwinął w Omar Sharif elementy założenia zapoczątkowane przez ojca i dziadka.

Salim, późniejszy Jahangir, musiał przesiąknąć atmosferą miasta bez reszty. Podobnie jak jego ojciec nie cenił ortodoksyjnie pojmowanej religijności, uwielbiał natomiast muzykę, taniec i, niestety, opium, które pomagało mu osiągać stany transu, podobne do tych, jakie zyskują qawwali za pomocą swoich niekończących się sesji muzycznych zbudowanych na mistycznej poezji. Oczywiście muzyka jest zdrowsza dla organizmu niż opium, zatem nawet przyzwyczajeni do używek dworzanie z mogolskiego dworu w swoich zapiskach dziwili się tym, iż tak bardzo uzależniony cesarz jest w stanie utrzymać się przy życiu i nawet dobrze rządzić. Sprawowanie dobrej władzy umożliwiała Jahangirowi także jego małżonka, Noor Jahan, będąca znakomitym i aktywnym politykiem. Współrządy małżonków nie były dla nikogo tajemnicą, bowiem figurowali oni wspólnie na wielu obiegowych monetach, które, nawiasem mówiąc, osiągnęły szczyt numizmatycznego arcyzmu.



Stanowiący większość Hindusów hinduiści szybko docenili tolerancyjność Wielkich Mogołów i uniwersalizm propagowanej przez nich kultury. Mauzoleum grobowe Moinuddina Chistiego stało się dla nich jednym z najważniejszych miejsc pielgrzymkowych w Indiach, i my również, gdy wjeżdżaliśmy do centrum Ajmeru, zobaczyliśmy w tym mużułmańskim mieście w większości hinduistycznych pielgrzymów. Ucieszyło mnie to, bowiem co jakiś czas zdarzają się w Indiach krwawe masakry pomiędzy hinduistami i mużułmanami, zaś kult Khwajaji należał do całkowicie odwrotnych tendencji. Istotą tego kultu jest oczywiście płodność, bowiem zwykła rodzina Hinduistów czuje się bardzo nieszczęśliwa bez męskiego potomka, gdyż tylko on może składać ofiary za swoich przodków. Posiadanie syna jest jednym z głównych obowiązków hinduisty, co podkreślają wszystkie niemal mity, nie wykluczając z tego procederu najbardziej nawet surowych ascetów. Posiadanie samych córek

jest natomiast ogromnym problemem. Nie dość, że trzeba pracować w pocie czoła na ich posag, to później niejako mają one obowiązek zerwania większości więzów z rodzicami na rzecz rodziny męża. Mogą one natomiast zostać zobowiązane do potajemnego modlenia się za dusze przodków, nie zaś za ród męża, w związku z czym rodzice mających się ożenić synów nie lubią kandydatek nie posiadających żyjących braci. Dla mnie jest to kolejne religijne szaleństwo – czyż nie byłoby bowiem prostym rozwiązaniem wprowadzenie pudży za rodziców obydwójga małżonków? Hinduizm podlega przecież nieustannym i gwałtownym zmianom... Widocznie, jak widać na tym przykładzie, społeczność lubi elementy represyjności, a ci którzy mają synów nie chcą uronić ani grama ze swej uprzywilejowanej z tego względu pozycji, podobnie jak wielu przedstawicieli wysokich kast (choć na szczęście nie wszyscy).

Gdy zajęliśmy już swój pokój, opłacony po długich targach z hotelarzami, wyruszyliśmy na oglądanie miasta. Było upiornie gorąco, na szczęście udało nam się po raz pierwszy zdobyć pomieszczenie z klimatyzacją, bardzo tanio, choć bez jej podłączenia do generatora dostarczającego energii, gdy wyłączają prąd. Braki napięcia w sieci były w prowincjonalnych Adźmerze dość częste, na szczęście nie na tyle długie, by uczynić nasze AC czysto symbolicznym. Adźmer pełen był wąskich uliczek i był niejako archetypem średniowiecznego miasta, pełnego tajemniczych i chaotycznie poprowadzonych zaułków. Zabudowania przy owych zaułkach często były bardzo piękne. Na ściany zabudowy składały się tradycyjne hawele, niekiedy tylko rozbite przez bardziej nowoczesne i niekiedy zbyt wielkie hotele dla pielgrzymów. Ludzie ubierali się tu albo po muzułmańsku, albo w tradycyjny, radżasthański sposób. Wszędzie sprzedawano kobiece ozdoby, dziwaczne, piramidalne czapki sufich Chistiego, lub wszelkiej maści kaligrafie arabskie, tudzież przedstawienia najświętszych miejsc islamu z Omar Sharif na czele. Na labiryntem tych murowanych kanionów unosiło się wysokie i strome wzgórze, albo raczej stosunkowo niska góra, zwana Taragarh Hill. Należała ona do pasma

Aravalli Range, którego ostre i wysuszone szczyty dominowały nad adżmerskim niebem.

Przed Omar Sharif ulica rozszerzała się w wąski, wydłużony plac, gdzie szczególnie nasilała się ilość sklepów z różnymi dewocjonaliami i z płytami największych mistrzów qawalli, z legendarnym Nusratem Fatehem Ali Khanem na czele, oraz z jego bratankiem Rahatem Fatehem Ali Khanem, który za życia Fateha bardzo często sekundował mu w pięknych duetach swoim wysokim głosem, który z perspektywy naszej tradycji muzycznej wypadaloby nazwać kontratenorem. Nie zabrakło też braci Sabri, oraz wielu mistrzów ghazalu, z Ghulamem Ali na czele. Co jednak ciekawe, wszystkie płyty dostosowane były do gustu pielgrzyma, często pochodzącego z małego miasteczka. Nie sprzedawano zatem cd, lecz szczelnie upakowane na płycie zestawy nagrań mp3 oferujące od 5 do 10 godzin muzyki. Zrobiliśmy dobrą minę do tej złej gry i kupiliśmy parę takich zestawów, bowiem Ajmer był jednym z najlepszych miejsc na świecie do słuchania qawwali.

Główna brama do Omar Sharif posiadała w sobie coś baśniowego. Również minarety tej budowli były nierealnie ozdobne, sprzeciwiające się jak gdyby narzuconej im funkcji. Głównym zgrzytem w tej miłej całości były spore ilości żebraków, zwłaszcza kalekich, pozbawionych nóg, z których jeden, szczególnie dramatyczny, turlał się po rozżarzonej upałem ziemi wznosząc okrzyki „Allah, Allah!”. Pielgrzymi mimo to nie zwracali na niego większej uwagi, oczywiście też nie zdarzył się cud polegający na odrośnięciu kończyn. Takie rzeczy nie zdarzają się ani w Lourdes, ani w Medynie... Ciekawe dlaczego? Duża ilość żebraków jest charakterystyczna dla ważnych indyjskich miejsc kultowych. Ich bywalcy często bowiem uważają, iż po wykonanym rytuale należy coś dać biedniejszej od siebie osobie. W Adżmerze ów datek nazywał się bakszysz, co nie powinno brzmieć dziwnie dla polskich uszu. To odarabskie słowo rozprzestrzeniło się od Imperium Otomańskiego po Imperium Mogołów, a pewnie też dalej.



Spacerując po mieście, pomimo straszliwego wprost upału, znaleźliśmy klucz do jego topografii. Okoliczne wzgórza były na tyle strome, iż Adżmer nie mógł się swobodnie rozrastać na różne strony. Tworzył on zatem trzy nachodzące na siebie kręgi, z których środkowy był tutejszą starówką wraz z przedmieściami. Idąc chwilę przez jedno z takich przedmieść, zaanektowane w dużej mierze przez nowe i całkiem bogate budownictwo jednorodzinne, doszliśmy do dość rozległego jeziora Anasagar. Ów zbiornik ufundował maharadża Anaji panujący w latach 1135 – 1150 n.e. Komponował się on z otaczającymi miasto wzgórzami bardziej chyba jeszcze malowniczo niż czyniły to wspaniałe jeziora w Udajpurze.



Nad Anasagar cesarz Jahangir założył park zwany Daulat Bagh, czyli Parkiem Pieniążka. Jak widać Salim, po swym wyniesieniu na tron, nadal był przywiązany do Adżmeru. Największą atrakcję parku zbudował jednakże jego syn, cesarz Shahjahan. Nad samym jeziorem umieścił on pięć pięknych, proporcjonalnych pawilonów. Dotarliśmy tam nie bez trudu, spaleni słońcem i wysuszeni żarem. Wpierw przeszliśmy to miejsce, bowiem Daulat Bagh z poziomu drogi wyglądał bardzo niepozornie, zaś nad okolicą dominował wielki, pobrytyjski hotel umieszczony na wzgórzu i wyglądający jak pałac jakiegoś

zupełnie baśniowego monarchy. Pawilony robiły ogromne wrażenie, co nie dziwne, gdyż styl fundacji Shahjahana należy do najbardziej wyrafinowanych i spektakularnych na świecie. Starczy choćby wspomnieć Taj Mahal, czy Jama Masjit w Delhi... Niestety, pielgrzymkowy charakter Adżmeru i tu dał znać o sobie, bowiem piękne marmurowe kioski stały się swego rodzaju tłoczonymi poczekalniami. Skądinąd bardzo sympatyczni ludzie koczowali tam w dużej ilości czekając zapewne na wieczorną modlitwę do Moiuddina Chistiego, która uchodzić musiała za szczególnie pomyślną. W tłumie zalegającym na marmurowych posadzkach pryskała cała romantyczna aura tego miejsca, choć kto wie? – może również Shahjahan myślał o pielgrzymach wznosząc te budowle w Daulat Bagh?

Co było nieuchronne, porównywaliśmy Adżmer z Udajpurem. W tym ostatnim czuliśmy się lepiej, bowiem nie było tam pielgrzymów i religijność nie była większa niż w innych częściach Indii. Miasto też było większe, znacznie mniej prowincjonalne i wyraźnie bogatsze kulturalnie. Historia najnowsza obeszła się z Udajpurem znacznie lepiej niż z Adżmerem. Mimo to, choć pawilony Shahjahana w Daulat Bagh niemal zniknęłyby przy ogromie Pałacu Miejskiego w Udajpurze, nie dało się ukryć, iż deklasują go swoim artyzmem, wyjątkowym pięknem kompozycji i detalu. „Tu był cesarz poeta” – mówiły nam wprost nie przejmując się narzuconą im atmosferą tłocznej, dworcowej poczekalni. Niestety, drzewa w ogrodzie były znacznie przerzedzone, choć jeszcze można było znaleźć wśród nich również te sadzone przez cesarskich ogrodników. Park przez to narzekał na deficyt cienia, my zaś, chwytając się za głowy, usiłowaliśmy nie przewrócić się na ziemię.

Wróciliśmy aby coś zjeść i tu czekała nasz kolejna niespodzianka. Słyszeliśmy wcześniej od wielu Hindusów, iż kuchnia w Radżasthanie jest potwornie ostra. Oczywiście Radżasthan jest wielkim indyjskim stanem, zatem w Udajpurze poziom ilości chilli i pieprzu w jedzeniu był możliwy do wytrzymania. Nie działało się tak jednak w Adżmerze – to co

mieliśmy do dyspozycji przez kilka dni spędzonych w tym mieście było po prostu niejadalne. Nie tylko dla nas. Hindusi wywodzący się z innych stanów również nie mogli sobie poradzić z pikantnością adżmerskich potraw. Próbowaliśmy jedzenia nieindyjskiego, czyli na przykład pizz, lecz i one były przyprawione na modłę miejscową. Jedzenie było tak ostre, że ani ciapati, ani ryż nie były w stanie złagodzić jego smaku. Pomagało tylko dahi, czyli jogurt, ale ile można zjeść jogurtu? A jakieś ćwierć litra kończyło się już po trzeciej łyżce dania głównego. Jedzenie adżmerskich potraw najwyraźniej wymagało treningu już w dzieciństwie. Ja, aby nie umrzeć z głodu, albo też nie opuścić miasta przed jego zobaczeniem, zdecydowałem się na kurczaka, gdyż mięso znacznie bardziej złagodzi ostrość niż kuchnia wegetariańska. W ten sposób mogłem stwierdzić, iż dla kogoś lubiącego ekstremalnie ostre potrawy kuchnia Adżmeru okaże się prawdziwym kulinarnym skarbem.

Wychodząc z hotelu czuliśmy się jak kosmonauci zwiedzający bez skafandrów nieprzyjazną dla ziemskiego życia planetę. Żar i ilość światła w powietrzu były wprost oszałamiające. Woda parowała z nas jak z lokomotyw parowych. Nie było szans na to, żeby się spocić, bowiem pot natychmiast ulatywał w powietrze. Jeszcze w pociągu zobaczyliśmy sprzedawcę napojów, który jak zwykle miał w wiadrze bloki lodu, aby schłodzić swój towar. Ów lód ulegał natychmiastowej sublimacji, niejako pływając w rzece mlecznobiałej mgły. W Adżmerze nie spotkaliśmy żadnych turystów (może poza dwoma zagubionymi osobami przy dworcu) spoza Indii i nie było to wcale dziwne zważywszy na pogodę.



W tym niezwykłym, przepojonym ogniem lata pejzażu, czuliśmy się jak w jakimś śnie. Otaczały nas kobiety, nieodmiennie ubrane w radżasthańskie suknie, przesłaniające twarz zrębem szaty jak w filmach o dawnych księżniczkach, oraz mężczyźni w kurtach i turbanach. Adżmer wciąż miał w sobie silną aurę średniowiecza. W wąskich uliczkach nie mieściły się często nawet motory i motorynki. Jedyne głoś Nusrata Fateha Ali Khana, dobiegający z elektrycznych urządzeń, przypominał nam, że jesteśmy w XXI wieku. Swoją drogą, również styl wokalny Nusrata był na wskroś nowatorski. Z pewnością zdziwiłby

qawwali z dawnych czasów, którzy często byli zupełnie niewykształconymi prostytutkami z nizin społecznych i powtarzali, oraz splatali wyuczoną na pamięć poezję w ogóle jej nie rozumiejąc. Nusrat był zaś odpryskiem Gharany Delhijskiej, wywodzącej się z dworów mogolskich, która po Powstaniu Sipajów, kiedy „nieposłuszne” Delhi zostało ostatecznie spacyfikowane przez Brytyjczyków, wyniosła się do Lahore. Z tego potężnego pnia indyjskiej muzyki klasycznej wywodził się Nusrat Fateh Ali Khan, który jednakże zdecydował się ożywić i uszlachetnić formę qawwali, co wyszło mu rewelacyjnie. Rahat kontynuuje tradycję swojego wielkiego krewniaka i przyjaciela, aczkolwiek nie ma jego talentu, bowiem Nusrat był niepowtarzalny. Gdy sztukę Nusrata porównać z Braćmi Sabri, bardziej autentycznymi qawwali, których mp3 też w Adźmerze kupiliśmy, ci ostatni wypadają przy NFAK jak brutalne, toporne ogry, co ma czasem swój urok, lecz bez przesady...

Unoszeni tymi myślami i dźwiękami sufich rytu Chistiego staraliśmy się znaleźć jakiś pojazd mogący nas zawieźć do Twierdzy Taragarh, założonej we wczesnym średniowieczu przez radzę Ajaypana Chauhala. Na mapie owa twierdza była niemal tuż obok nas, lecz w rzeczywistości wzgórze tworzyło przy niej stromą ścianę skalną i wjechać, albo wejść na nią można było tylko w łagodniejszych partiach Taragarh Hill, czyli drogą zaczynającą się jakieś 4 kilometry na południe od nas, lub ścieżką biegnącą za Omar Sharif, która byłaby nie lada atrakcją, gdyby nie 46 stopni w cieniu i fakt, że porastające wzgórze trawy, kaktusy i karłowate drzewa cienia raczej nie dawały. Zresztą, na mapie satelitarnej widać było, iż jakkolwiek by nie iść, trzeba było się wspinać po stromych serpentynach dróg i schodów przez co najmniej pięć kilometrów, licząc od podnóża wzgórza. Zapomniałbym dodać, że adźmerska starówka nie była założona na nierównym terenie. W przeciwieństwie do Udajpuru, zabytkowa część miasta pielgrzymów pobudowana została na niemal płaskim dnie stosunkowo niewielkiej kotliny.

Dodarliśmy wreszcie do miejsca, gdzie jeździły jeepy do Taragarh. Tam otoczył nas tłum życzliwych ludzi, głównie kobiet, radzący nam gdzie dokładnie mamy czekać i zadający typowe dla indyjskich prowincjuszy pytania, których nie zadaje się raczej w Europie na dzień dobry. Więc – „ile masz lat? Ile masz dzieci? Jak nazywa się twój ojciec? – itp. Czułem się jak na posterunku policji, ale rozumiałem tych ludzi. Żyli oni w sieci podobnych relacji, ich nazwiska powtarzały się w całych Indiach miliony razy, ulice na których mieszkali były często bezimiennymi labiryntami, koszmarem biednych listonoszów... Rozumieliśmy tych ludzi, tym niemniej czuliśmy się nieco speszeni, zwłaszcza Kaja, na której spoczywał główny ciężar rozmowy. Bo o czym mieliśmy rozmawiać? Nie znaliśmy się na zaprzęgach wołowych, złożonych radżasthańskich rytuałach społecznych, czy siodłaniu osłów. Nasi rozmówcy również nie mogli sobie wyobrazić naszego świata, podobnie jak Delhi, czy Mumbaju. Oczywiście czasem, niektórzy z nich musieli udać się do dużych indyjskich miast i czuli się wtedy nieszczęśliwi i zagubieni, albo też, co nieraz widziałem w Delhi, czy nawet w Agrze, bawili się na przykład całymi rodzinami podjeżdżaniem po schodach ruchomych. Windy w galeriach handlowych były równie atrakcyjne, jak też i sam spacer po tak niezwykłym, futurystycznym bazarze, gdzie ceny były zupełnie marsjańskie dla indyjskich wieśniaków. Moi znajomi z Delhi, gdy słyszeli, iż rozmawiałem z takimi ludźmi (na przykład z muzykiem ludowym w Udajpurze) wpadali w ton zdziwienia, pewnej wyższości, ale też nostalgii. „Tacy ludzie są bardzo prości” – mawiali wtedy, – „jak wam się udało w ogóle z nimi porozumieć...?”. Jednocześnie tacy ludzie stanowią wciąż większościową grupę Hindusów, których rzadko może podziwiać turysta, chyba, że widzi ich już zmienionych, usiłujących przetrwać w jakimś dużym mieście. Wielu indyjskich filmowców próbuje oddać świat tej niemej indyjskiej większości, lecz chyba nikomu się nigdy to w pełni nie udało. Zawsze za dużo jest w tej filmowej prostocie czegoś z przypowieści, oraz idealizacji, lub brutalizacji. Filmowcy też pochodzą z dużych miast, wielu z nich skończyło college, odbywało dalekie podróże zanim jeszcze

osiągnęło sławę. Jak mogą więc wczuć się w świat sprowadzający się do małej wioski, lub miasteczka, do stosowania technologii znanych od stuleci, czy nawet tysiącleci (wciąż bardzo popularny w Indiach zaprzęg z wołów, robienie garnków na kole garncarskim, suszenie krowich odchodów na ścianach chat z siana i gliny etc.). Czasem, gdy o tym wszystkim pomyślę, mam ochotę wybrać się w Indiach do jakiegoś kompletnie nieatrakcyjnego miejsca, pozbawionego jakichkolwiek zabytków, miejsc pielgrzymkowych, ważniejszych zakładów przemysłowych i szlaków komunikacyjnych. Mam ochotę wybrać się tam i zobaczyć, jak tam żyją ludzie, zupełnie już nie tknięci przez daleki świat. Nawet indyjskie media w tym bowiem za bardzo nie pomagają. W wielu popularnych kanałach TV wyświetlane są przede wszystkim filmy odnoszące się do indyjskich mitów (wprost i nie wprost), piosenki do tych filmów, oraz piosenki religijne związane z popularnymi świątyniami bogów, które dość często nie wyglądają wcale ciekawie, nie są też ukazywane z oddalenia, tak, aby można było dostrzec miejsce, gdzie się znajdują.





Prostota jest bardzo silnym mitem indyjskiego społeczeństwa, niemal wszyscy tęsknią za nią, jeśli nie liczyć zbuntowanej, wielkowiejskiej młodzieży. Prostota należy do utopijnych legend tej części społeczeństwa, która ma czas, aby marzyć i narzekać. Ci, którzy rzeczywiście są prości, oczywiście tego nie dostrzegają i jeśli za czymś tęsknią, to za wielkim światem. Dlatego stanowiliśmy w Adźmerze pewną sensację, gdyż natykaliśmy się na ludzi, którzy widzieli Europejczyków tylko w filmach. Oczywiście, być może o bardziej miłosiernej porze roku jest inaczej, bo bądź co bądź Adźmer

jest atrakcją turystyczną. Lecz latem czuliśmy się w tym mieście jak interesujący punkt wycieczek dla wioskowych i małomiasteczkowych turystów. Często słyszeliśmy – „czy może pan/pani zapozować do naszego zdjęcia?” Wiele osób nie miało oczywiście żadnych aparatów fotograficznych, nawet w komórkach, lecz nie było to przeszkodą, bowiem tu i tam kręcili się z sufickimi strojami płatni fotograficy robiący zdjęcia pielgrzymom i wiejskim parom w trakcie miesiąca miodowego (mającego do tego przynieść błogosławieństwo płodności – zatem dwa w jednym...). Wszyscy proszący nas o pozowanie byli niesamowicie mili, więc nie mogliśmy po prostu brutalnie odmówić, rozumiejąc zresztą tych prowincjuszy (tylko przypadek przecież sprawił, iż urodziliśmy się w innym miejscu niż oni). Najzabawniejsze były sesje fotograficzne z całymi rodzinami, dziesiątkami babć, dziadków, wujków, matek, ojców, cioć, braci brata, sióstr matki, żon kuzyna... Robiło się wtedy wiele zdjęć, aby uszanować wyrafinowane zasady rodowej hierarchii. Za każde zdjęcie ulegli naszemu czarowi nieszczęśnicy płacili co najmniej dziesięć rupii, co dla osób z prowincji składało się łącznie na całkiem poważną kwotę. Ja jeszcze okrutnie szczerzyłem swój uśmiech spod radżasthańskiego turbanu, z muszelkami, wychodzi na to, że naprawdę trafionego w gust mieszkańców Radżasthanu. Czułem się niemal jak jakaś syrena wabiąca nieszczęsnych pielgrzymów... A jednocześnie było niesamowicie gorąco i nawet nie próbowałem zdjąć z głowy mojego cudownego nakrycia (ma też złote nici wszyte w czerwony (chyba) jedwab!). Oczywiście po sesji zapraszano nas na herbatę, obiad, etc., lecz na szczęście większość pielgrzymów nie była u siebie, zdawała więc sobie sprawę iż zbiorowa sala jakiegoś taniego hotelu i powoli rozpalany na jego dziedzińcu ogień pożerający anemicznie krowie odchody nie są szczególnie atrakcją dla potencjalnych gości. Zatem zaproszenia nie były szczególnie natarczywe, na całe szczęście, bo oczywiście nie moglibyśmy przełknąć pikantnej kuchni naszych niedoszłych dobrodziejów. To co powyżej napisałem może trochę w satyrycznym tonie, ale oczywiście bardzo lubię i cenię tych prostych Hindusów. W

jakimś sensie to głównie dzięki nim Indie są tak pięknym i barwnym krajem. Chciałbym, aby moja ironia została potraktowana raczej jako protest przeciwko temu, iż wiele milionów ludzi na Subkontynencie jest po prostu – póki co – skazana na ową prostotę, która w ludziach patrzących na nią z zewnątrz budzi sentymenty, chęć wysyłania zdjęć do National Geographic, czy na ściany turystycznych restauracji, albo po prostu ochotę na projektowanie pocztówek. Warto więc trzymać kciuki za przedsiębiorczych i mających lepszy start Hindusów, aby stopniowo, egoistycznie, lub nie, pchali cały swój kraj ku nowoczesności, aby zdolne dzieci z małych wiosek miały większe szanse na pełne rozwinięcie swoich talentów, nawet kosztem tej jakże słodkiej indyjskiej barwności, zawartej też w rzemiośle, w folklorze, dialektach, obyczajach etc. Historia naszej cywilizacji pokazuje, iż ludzie, gdy mają wybór, wolą jednak wyrwać się ze swoich wiosek, albo przynajmniej zamienić woły na traktory. Ja, będąc w Indiach, coraz częściej się zastanawiam nad tym, o ile trudniejsze jest mimo wszystko przewożenie towarów siłą wołów, niż motorów, czyli wołów mechanicznych. Podróż trwa nieskończenie dłużej, o zwierzęta trzeba dbać, czy się chce, czy się nie chce, a przecież nie są to małe kotki, czy rybki w akwarium. Woły, robione ręcznie przedmioty, gotowanie na krowim kale, prawie całkowity brak elektryczności – to wszystko, choć cieszy nasze zmęczone uprzemysłowieniem oczy, zabiera nieskończenie wiele czasu. Indyjski wieśniak z prowincji na pytanie „co robisz w wolnym czasie?” odpowiada najczęściej – „śpię”. My i tak mieliśmy szczęście zastać tych ludzi na wakacjach, być może jedynych w życiu, na pielgrzymce do grobu Chistiego, na którą musieli oni ciężko pracować, lecz cóż – brak synów w rodzinie to znacznie poważniejszy problem, niż trud wyruszenia w ślady cesarza Akbara.

[Zobacz inne rozdziały Dziennika indyjskiego](#)